

**WALERIJ SUROW**

**OSTATNI PROM**



Pędziłem z Tarłowki do Kazania na motocyklu. Gnałem z maksymalną prędkością, zgięty w kabłąk. Szybę osłonową rozbił mi kamień - zdjąłem ją więc i wyrzuciłem. O ósmej odpływał ostatni prom na drugą stronę Wiatki. Most przez Wiatkę w owym czasie dopiero budowano, a przez tę piękną rzekę samochody, konie i ludzi przewoził prom. Oblepiony smarami holownik, lina, drewniana, rozpadająca się barka.

Za Ełabugą droga była gliniasta. Wyboje! Cała nawierzchnia składała się z samych wybojów! I kurzu co niemiara. Brązowego. Lato. Żar... Po wsiach nawet psy nie ujadają - pyska im się nie chce otwierać. Nie pojechałbym w taką pogodę, ale pożarłem się z przyjaciółką, odbiło mi, wskoczyłem na brykę i jazda! Hurra! Jeżeli dobrze docisnę, zdążę. „Jawa” - nie byle co!... Nastrój mam, mówiąc prawdę, pod psem. „Aby tylko zdążyć na prom, a stamtąd jeszcze ze sto siedemdziesiąt kilometrów. I przed wieczorem będę w mieście!” - myślałem spoglądając na słupki kilometrowe i prędkościomierz.

O wpół do ósmej zobaczyłem przystań - wysmarowaną barkę z niewielką budką na dziobie. „Zdążyłem!” - pomyślałem sobie. Teraz tylko trochę się rozruszać, zapalić papierosa - i wszystko będzie w porządku. Benzyny wystarczy, choć jadąc tak prędko wypaliłem na trasie sporo.

Podjechałem tuż nad wodę. Postawiłem brykę na nóżce i rozprostowałem ściernięte nogi, sięgnąłem po papierosy i zapalki. Pełnym dezaprobaty spojrzeniem zmierzył mnie chłop w długim, zielonym płaszczu. No proszę, oto prawdziwy pirat drogowy! Obok chłopca stał potężny, biały koń. Obok konia - wóz wyładowany skrzyniami i butelkami. Pewnie wiozł naczynia z jakiegoś wiejskiego sklepiku do rejonowego miasteczka.

Uśmiechnąłem się. Umyłem szybko motocykl. Dokręciłem. Dociągnąłem. Stary wlaź na wóz i w zadumie spoglądał na tamten brzeg.

Oparłem motocykl o drzewo, sterczące nie opodal wody, a sam położyłem się na trawie i zacząłem obserwować wieczorne, ciemnoniebieskie niebo. Kątem oka zauważyłem, że dojechało jeszcze dwóch wieśniaków, obaj koło czterdziestki, na traktorze z przyczepą i, nie wyłączając silnika, zeskoczyli na trawę. I niemal jednocześnie, bez najmniejszego powodu, puścili wiązkę. Szyper zasadził się na płotki. Beznadziejnie siedział na burcie z wędką i czekał, kiedy weźmie.

- Szefie! - krzyknął jeden z traktorzystów. - Gdzie prom?

- Zara będzie - odparł indagowany, nie podnosząc głowy.

Woźnica z wyrzutem spojrział na traktorzystę.

Do nadejścia promu pozostawało jeszcze około dziesięciu minut, gdy do przeprawy podjechała ciężarówka przerobiona na autobus i ze środka wysypała się gromada kobiet, mniej więcej w tym samym wieku, mniej więcej między czterdziestką a pięćdziesiątką. Podniosły straszny rwetes, poszły wyjaśniać, dlaczego jeszcze nie ma promu, a kierowca ruszył w stronę traktorzystów, szukając bratniej duszy.

Pięć przed ósmą nadjechała jeszcze nowa niebieska wołga, z postawnym mężczyzną przy kierownicy. Zatrzymał się nie wysiadając z samochodu.

Na przeciwległym brzegu widać było przystań, za przystanią kilka budynków, a dalej i samo miasteczko Papadysz. Obok promu na drobnej fali kiwały się jakieś holowniki, motorowa barka, ze trzy dziesiątki drewnianych łódek, potężny pływający dźwig.

Zdjąłem kask, okulary, rękawice i rzuciłem to wszystko na trawę. Cała trawa przy pomocy pokryta była tłustymi plamami smaru. Wały się niedopałki, papiery, niedojedzone słoneczniki, folie z topionych serków.

- Nie pytał pan, dlaczego nie ma promu? - zapytał właściciel wołgi, wysunąwszy siwą głowę przez okno.

- Nie - odparłem. - Damy zaraz to wyjaśnią. Być może coś im tam nawaliło?...

Nie zareagował. Skierował wzrok na przystań, gdzie kobiety bezlitośnie atakowały

szypra. Ten najpierw się opędział. Potem wyciągnął wędkę i, zwijając ją w marszu, udał się do budki sterczącej na rufie.

- No pewno! - darły się za nim kobiety. - Masz to gdzieś! I za co taki pieniądze bierze!... Nie chłop, tylko jakaś oferma!

- W rozkładzie stoi jak byk, że o ósmej ma stąd odbijać, a jeszcze nawet nie przyplłynął! Co to za porządki! I po co ten cały rozkład co? - waliły w drzwi budki.

Na tamtym brzegu prom nie miał nawet zamiaru się ruszyć z miejsca. Holownik kiwał się z boku na bok, wyrzucając w górę kłęby dymu. Słońce groźnie poczerwieniało, zrobiło się większe i jakby pod własnym ciężarem opadło ku linii horyzontu zalewając ognistym światłem góry, lasy i wsie.

Byłem pewien, że prom tak czy inaczej przyplynie, więc nie denerwowałem się. Leżałem sobie na trawie, paląc papierosa. Co tam? Nocą też można jechać - przynajmniej silnik nie będzie się przegrzewał.

Traktorzyści i kierowca autobusu powlekli się szukać raków pod kamieniami w zakolu rzeki. Właściciel wołgi wysiadł rozprostować nogi. Poszedł brzegiem, po piasku, wzbijając czubkami butów grudki błota. W zatoczce wyskakiwała od czasu do czasu wielka ryba. Każdy plusk wywoływał głośnie reakcje traktorzystów.

- Ech, przydałby się podbieraczek! - wzdychali.

Z rakami nie mieli szczęścia. Mokrzy i źli, pracownicy mechanizacji rolnictwa wyszli na brzeg i z nudów zwymyślali szypra. Ten, w odpowiedzi, zaciągnął jeszcze firanki w oknie.

- I czego się tak zasłonił? - wrzeszczały kobiety. - Weź się do sprzedawania biletów na przeprawę!

- Przyjdzie prom, sprzedam - odparł przez drzwi.

- Co mu zależy!...

Zbliżał się wieczór, noc. Na przybrzeżne krzaki i zalewowe łągi opadała piękna wieczorna mgła. Daleko, kilka kilometrów stąd, rysowała się potężna konstrukcja budowanego od wielu lat betonowego mostu. Budowano go od tak dawna, że nawet tu, nad przeprawą nikt już o tym nie mówił i nie zadawał idiotycznych pytań, w rodzaju: „A przecież od jak dawna planowano zakończenie? Kiedyż wreszcie?...”

Kobiety rozsiadły się na poręczach i zaczęły plotkować. Wszystkie wyglądały identycznie - w jednakowo wyciągniętych i spłowiałych bluzkach, w jednakowych chustach, w jednakowych przydeptanych trzewikach. Wybierały się, zapewne, na tamtą stronę rzeki, oddelegowane do pielienia czegoś. Ulitowawszy się nad oczekującymi, szyper wyszedł, popatrzył na przeciwległy brzeg i zastanawiał się głośno:

- Pewno holownik się popsuł. Zaraz naprawią i przyplyną. Nie denerwujcie się. U nas, w śródlądowej jest porządek.

- A nam się nie spieszy - zachichotały dobrodusznie kobiety.

Uznawszy, że rozejm został zawarty, szyper wyciągnął ze swej budki wędzisko i zarzucił haczyk w wodę.

- Lepiej byś tam, przy krzakach, spróbował! - krzyknął z brzegu kierowca. - Pod wieczór biorą jak nigdy.

- Sam wiem - odparł szyper.

- Właśnie widać - uśmiechnął się traktorzysta. - Siedzisz i siedzisz, i nałapałeś tyle co kot napłakał.

- Przecież na goły haczyk łapie - odezwał się drugi traktorzysta. - Założyłbyś rubla, zaraz byś złapał!

- Z rublem na haczyku można tylko w sklepie coś złowić - odpowiedział szyper.

- Do sklepu, bracie, to trojaka trzeba, rubelek nie starczy - nie zgodził się traktorzysta.

Zdając sobie sprawę, że do nadejścia promu upłynie jeszcze sporo czasu, traktorzyści zgasili silnik.

Właściciel wołgi wyjął z bagażnika pastę w aerozolu i zaczął pucować maskę swego błyszczącego nowością samochodu. Widząc to i ja sięgnąłem do skrzyneczki i zacząłem grzebać przy swoim motocyklu. Coś przecież trzeba robić.

Było coraz ciemniej. Minęła już dziewiąta, a nasza sytuacja pozostawała bez zmian.

Popatrzcie! - krzyknął ktoś.

Wszyscy popatrzyli na drugą stronę rzeki i zobaczyli, że nasz holownik, ten od promu, rzucił cumy i popłynął w zupełnie innym kierunku, pozostawiwszy barkę. Wzburzył wodę w rzece i otoczony dymem popłynął w górę, pod prąd. Piętnaście minut później straciliśmy go z oczu.

- Promu nie będzie - wyjaśnił szyper. - Wszystko jasne. Przyjdzie dopiero jutro, albo w nocy... Coś się tam musiało stać poważnego...

- Burdel! - zakrzyknęli traktorzyści. - I co teraz? Mamy jechać z powrotem? Taki kawał drogi! I co, jutro znowu wracać? Co to wasze kierownictwo sobie myśli?!

- Obywatele! Co ja mogę? Ja jestem mały człowiek i mogę odpowiadać tylko za to, co do mnie należy.

- A niech ich! Dziewczyny, chodźmy się kąpać! - zakrzyknęły kobiety i zgodnie udały się w stronę jezior, ciemniejących nie opodal przeprawy. Woda w jeziorach była znacznie cieplejsza.

Po kilku minutach ich śladem ruszyli traktorzyści i kierowca. Mrugnąwszy do siebie porozumiewawczo skradali się w kierunku krzaków z figlarnym uśmiechem na ustach.

- Tfu! - splunął z całego serca szyper, spojrzawszy na traktorzystów i kierowcę.

- Wstyd i srom! - poparł go woźnica, odwracając się z obrzydzeniem. Zaczął szukać czegoś z przodu furmanki, i po chwili wyciągnął stamtąd kolejno: butelkę mleka, pajdę chleba, ogórki, pomidory, jajka, słoninę... Pokazawszy to wszystko, troskliwie wyprzągnął konia, spętał mu przednie nogi i puścił go wolno. Koń pokuśtykał w stronę krzaków i zajął się skubaniem trawy.

Właściciel wołgi wzruszył niejednoznacznie ramionami, jakby także dając wyraz swemu negatywnemu stosunkowi wobec postępowania kierowców. Zakończywszy polerować samochód, przejechał nim około dziesięciu metrów w bok, otworzył bagażnik i wyjął stamtąd składany stolik, składane krzeselko, składany prymus i inny sprzęt, wszystko składane. Następnie wygrzebał walizeczkę, otworzył. Czego w niej nie było, na podróż! Ustawił stół, krzesło...

Woźnica zdjął z siebie i rzucił brezentowy płaszcz i poszedł do rzeki umyć się. Mył się długo i starannie, następnie poprawił fryzurę, wytarł się w szmatkę i zaczął rozkładać na trawie brezentową płachtę, na której rozmieścił swą obfitą kolację.

Od jeziora dał się słyszeć pisk, chichot, rżenie traktorzystów i kierowcy, krzyki kobiet. Plusk wody. Znowu krzyki... Po chwili zjawili się mechanizatorzy. Jeden z nich był przemoczony do suchej nitki. Zaczął ściągać z siebie koszulę i wyjmować wplecione we włosy wodorosty.

- Skąpały go - wyjaśnił obecnym kierowca. - Baby wciągnęły go do wody! U nas, w Piśmiance baby są okropnie zawzięte!

- Ale cię załatwiły - chichotał drugi traktorzysta - Fiedka! Mało, że cię zawlokły, to jeszcze cały łeb ci mułem wysmarowały...

- A niech je! - opędział się zmieszany Fiedka, wyzymając spodnie. - Baby jak piece! Rzuciły się jak...

Kierowca wlaź do kabiny i, jak się zdaje, położył się na siedzeniu.

- No, ciągnij! - powiedział Fiedka, stojąc na trawie w długich do kolan majtkach.

Drugi traktorzysta zdejmował z przyczepy plandekę.

W niekompletnym stroju Fiedka wlaź do kabiny traktora, po chwili wyciągnął stamtąd skórzaną torbę. Kiedy rozścielili już na ziemi plandekę, zaczęli przygotowania do kolacji.

Widząc, jak właściciel wołgi wyjmuje swoje składane wyposażenie z bagażnika, jeden z nich zauważył:

- Niech ja skonom, zaraz składaną półlitrowkę wyciągnie.

- Ta-ak... Mogliby wymyślić takie pastylki - rozpuszczasz w wodzie, i pijesz sobie. Nie to co teraz, nadźwigać się trzeba tych butelek! - oświadczył drugi, wydobywając zieloną butelkę portweinu. - Ej, dziadku! Dołącz się do nas!

Woźnica pokiwał głową z naganą i zajął się swoją kolacją.

- Kierowcę trzeba by zawołać.

- Daj spokój, przecież prowadzi.

- Wy też prowadzicie. Wy też - z dezaprobatą rzucił woźnica.

- My tylko traktor. Prędkość ma mniejszą. Całkiem jak twoja szkapa.

Wśród kobiet zaczął się ruch. Rozpaliły ognisko i zabrały się za gotowanie ziemniaków.

- Kurujecie się z przeziębienia? - krzyknęła któraś kpiąco w stronę traktorzystów. -

Słusznie!

- Kurujemy się - przytaknął Fiedka. - A później do was przyjdziemy, rozgrzać się! Koło północy...

- Zapraszamy! Mamy parę dobrych kijów na rozgrzewkę!...

Nieco z boku, w oparach wieczornej mgły pasł się koń. Wszedł właśnie w mgłę i wydawało się, że pośród białej chmury wynurza się biały łeb. Jakby mgła miała głowę.

- Grisza - zwrócił się skąpany traktorzysta do kolegi - poszedłbyś do szypra, wyciągnął od niego trochę wobły.

- Wątpię, czy ma.

- Spróbuj. A nuż będzie miał.

Grisza wspinał się po trapie na przystań. Fiedka poprosił woźnicę:

- Dziadek, daj ogóreczka.

- Nie dam.

- Żałujesz, co?

- Nie żałuję. Tylko, żebyście się nauczyli. Na drugi raz weźmiecie z sobą jedzenie.

- Nie weźmiemy. Taka rzecz nam do głowy nie przyjdzie.

- A szkoda - wtrącił właściciel wołgi, wyjmując składaną patelnię i stawiając ją na palniku prymusa.

Traktorzysta spojrział na niego z niechęcią. Właściciel wołgi zauważył to i powiedział:

- Łap kanapki... Bo bez zakąski popłyniecie jak nic.

- Ale twarda! - zawołał Fiedka po pierwszym kęsie. - Co to za dziwna kielbasa?

- Sucha. Salami.

- Takiej kielbasy, to nawet mój Szałaj nie pogryzie! - z podziwem stwierdził traktorzysta.

- Głupi - rzucił woźnica. - Kto by taką kielbasę dla psów robił?

- A co? Za granicą, podobno, dla psów konserwy mięsne się robi. - odparł Fiedka i znacząco popatrzył na obficie zastawiony składany stół właściciela wołgi.

Ten dostrzegł złośliwe spojrzenie, spoważniał i zwrócił się do Fiedki:

- Przez całe życie uczyłem się jak wściekły i pracowałem po trzydzieści godzin na dobę... A ty, przez całe życie przeczytałeś może dziesięć książek, a i to o szpiegach.

- Nie dziesięć - zaprzeczył Fiedka - tylko trzy.

- No to zasuway teraz na traktorze z portweinem.

- Zrozumiałeś? Tak to jest - poparł go woźnica unosząc w górę koślawy palec.

- Całe życie się uczyłeś, to mi powiedz: dlaczego nie ma promu? - kpiąco zapytał Fiedka.

- Tego nawet sam szyper nie wie! - krzyknął Grisza, zbiegając drobnymi kroczkami z trapu na brzeg, z wiązką wobły w ręku.

- A ja wiem! - z wściekłością rzucił właściciel wołgi. - Wiem. Bo tu, nad Wiatką, porządku nie ma.

- A gdzie jest? Nad Oką? - zakpił Fiedka.

Nieco z boku przy swoim ognisku kobiety zachowywały się hałaśliwie. Niezgrabnie zdejmowały z poprzecznej żerdzi wiszące nad ogniem wiadro, krzątały się, gadały jedna przez drugą. Harmider podniosły taki, jakby poza nimi na brzegu nikogo nie było. Na mężczyzn nie zwracały najmniejszej uwagi.

- Rosjanin w gruncie rzeczy sam nie wie, czego chce - filozoficznie stwierdził Grisza - ale zawsze chciałby czegoś innego.

- Porządek jest potrzebny, porządek - wtrącił woźnica, patrząc z niechęcią, jak Fiedka rozlewa do szklanek niemal czarne wino. - A jakież może być porządek, kiedy wy sobie popijacie? Promu nie ma. A do domu nikt nie wraca. Mnie tam bez różnicy gdzie konika pasę. Ale reszta?

- Ja nie mam dokąd wracać. Mogę jechać tylko przed siebie - oświadczył właściciel wołgi.

- A my sto kilometrów zasuwaliliśmy po te nawozy i co, może mamy teraz wracać?

A ja leżałem nadal na trawie i nikt nie zwracał na mnie uwagi, jakbym był kawałkiem zmurszałego, wyrzuconego z wody pnia, niczym więcej. Po drugiej stronie rzeki rozbłysły światełka na statkach, pływającym dźwigu, przystani. Zapaliła się także żarówka w budce na naszej przystani.

Kobiety, parząc sobie usta i ręce, jadły ziemniaki popijając je mlekiem i o czymś zżywieniem rozprawiwały. Za przykładem traktorzystów właściciel wołgi wyciągnął podróżną półlitrowkę jakiegoś dziwnego napoju. Nalał sobie kieliszek i wypił ze smakiem. Spojrzał kątem oka na bogatą chłopską kolację woźnicy i oblizał się. Składanym widelcem zaczął wygrzebywać coś z puszek i z patelni - zakąsał. Fiedka wyciągnął z torby kolejną butelkę, jako że pierwszą już opróżnili.

- Hej? Kobotki!

- No? - odezwały się od ogniska.

- Dajcie trochę kartofli!

- Już się skończyły. Zjadłyśmy wszystkie.

- I proszę! - z dezaprobatą odezwał się dziadek. - Będą się teraz prosić jak żebraki! Na drugi raz ruszycie trochę główką! Wcześniej trzeba było myśleć, ot co!...

- Zamiast dogadywać, lepiej byś kawałek słoniny oderznął - powiedział Grisza. - Skąpiradło. Dawniej na pewno za kułaka byłeś.

- A ty - w komitecie wiejskiej biedoty działałeś - odciął się woźnica.

- Daj mu spokój - powiedział Fiedka. - Wobły mamy pełno... Hej, szefie! - zwrócił się do właściciela wołgi. - Chcesz wobły z Wiatki?

- Dziękuję. Nie potrzebuję.

- Łap! - Fiedka rzucił jednak w kierunku właściciela wołgi grubą, suszoną rybę.

Ten chwycił ją w locie. Podziękował.

- Kobotki!

- No?

- A wy, czemu do domu nie wracacie?

- Z daleka przyjechałyśmy. Z Piśmianki! - odpowiedziała któraś od ogniska.

Właściciel wołgi wyjął jeszcze z bagażnika porządną podróżną lampę na baterie i postawił na stole, żeby mu było jaśniej jeść.

Woźnica, kończąc jajko, zawiązał resztki i skorupkę w papier i rzucił zawiniątko w krzaki. Potem podszedł do rzeki, zaczerpnął w dłonie wody i wypił.

Widząc jak wszyscy dokoła mnie jedzą, poczułem się dobrze głodny, ale nic ze sobą nie wziąłem. A jechać do wsi było zbyt późno. Prosić - wstyd. „Następnym razem, kiedy zacznę

w drodze coś jeść, muszę się uważnie rozejrzeć, czy obok nie siedzi ktoś głodny.” - pomyślałem sobie. Miałem zamiar przekąsić coś na tamtym brzegu w papadysze. Gdyby prom był o czasie - syty dojeżdżałbym już do Kazania...

Kiedy człowiek jest głodny, to zły, zacząłem więc wściekać się na porządki panujące w żegludze promowej na Wiatce: „Jakby to był ich prywatny holownik, kurza stopa, chce im się, to przewożą! Tfu! I ludzi mają w nosie - a ja, na przykład, muszę przez nich na trawie się walać, całe szczęście, że deszcz nie pada.” A potem pomyślałem jeszcze: „A ileż ludzi tak się męczy na naszych przeprawach, na dworcach, na przystaniach! I niby dlaczego nie ma gdzie przenocować! Namiot przynajmniej by postawili i wynajmowali po rublu za łóżko! Albo przystań zorganizowaliby przyzwoitszą, z kajutami!...”

Czytając jakby w moich myślach Grisza zaczął opowieść, zwracając się do właściciela wołgi. Fiedia tymczasem ruszył w kierunku babskiego ogniska. Z niechęcią spojrzął za nim woźnica - układając się pod furmanką na nocleg. Koń pętał się gdzieś w krzakach.

- Opowiadają, że tu, nad Wiatkę, przyjeżdżali Amerykanie - mówił Grisza. - Obejrzeni wszystko, przeszli się jednym i drugim brzegiem i składają propozycję: my wam, powiadają, oczyścimy tor wodny, całkiem bezpłatnie, nic za to nie chcemy. Tylko to, co znajdziemy na dnie, jest nasze! Ale nasi pomyśleli i mówią: „Nic z tego. Tam, na dnie, jest pełno złota - mamy to jak w banku!”

- Bujdy - stwierdził właściciel wołgi układając się na trawie. - Identyczną historię słyszałem nad Desną. W Suzdalu opowiadali, że też przyjechali jacyś zagranicznicy, proponowali zbudować drogi, campingi, i też bezpłatnie, ale pod warunkiem, że będą eksploatować Suzdal przez pięć lat...

Ja także słyszałem nieraz podobne opowieści w różnych miastach i zacząłem się zastanawiać: skąd się takie legendy biorą? Z tęsknoty za dobrym gospodarzem? Popatrzmy choćby na tę Wiatkę - i proszę, oto płyną z przeciwnych stron dwie barki z drewnem, i do tego takim samym.

- Oni tam mają główki nie od parady - stwierdził Grisza i wskazał ręką hen, za ocean.

- Fakt - zgodził się właściciel wołgi. - Ale i nasi nie głupi.

- Pewnie - potwierdził woźnica leżąc pod wozem. - Chociaż promu ciągle nie ma...

Wrócił Fiedka.

- No, i co tam u bab? - zapytał Grisza.

- A nic. Jadą na drugą stronę pielic buraki... Chodź, odczepimy lawetę i pojedę gdzieś po wino.

- Gdzie ty teraz wino dostaniesz?! Płyn wplaw na drugą stronę. Tam prędzej się uda.

- Daleko.

- Odbiło im! Popędu dostali! - warknął woźnica spod furmanki.

- A ty tam śpij, stary dziadzie - dobrodusznie odezwał się Grisza.

- Może stary dziadzie, ale za to jeżdżę w ładzie - odparował woźnica.

W ciemności słychać było trzaśnięcie drzwi na przystani. Na pokład wyszedł szyper, przeciągnął się z rozkoszą i głośno zaklął. Przywykł pewnie, że w nocy, na przeprawie nikogo poza nim nie ma, bez żenady więc wysiusiał się do wody, smarknął głośno i wrócił do swej budki.

- Bezwstydnny! - warknął woźnica zasypiając.

- Macie go!... Nie może zasnąć, zrzęda! - stwierdził Grisza.

Właściciel wołgi zajął się przygotowywaniem legowiska w pobliżu swego samochodu. Wyciągnął dmuchany materac, prześcieradła, poduszkę, koc z podpinką. Ognisko obok kobiet dogasało. Na niebie było gęsto od gwiazd. Łagodnie muskały piasek fale wiatru. Zapanowała cisza. Daleko, na tamtym brzegu słychać było ujadanie psów. Gdzieś zza krzaków dochodził plusk wiosel. Z oddali dotarł gwizd pasażerskiego statku płynącego z prądem rzeki...

Grisza ułożył się na plandece. Fiedka dopalał papierosa, zerknął z ukosa na woźnicę, na

właściciela wołgi, na Griszę, na mnie... Po chwili wstał i po cichutku poszedł w kierunku brzegu. Kiedy oddalił się już dość znacznie, woźnica leżąc pod wozem wyszeptał donośnie:

- Już go poniosło, kocur rozwiążył! Za grosz wstydu nie ma!

Grisza zaczął chrapać. Właściciel wołgi wiercił się długo na swym dmuchanym materacu, ale wkrótce i on zaczął sapać poświstując przez sen.

Ja jednak zasnąć nie mogłem. „Dobrze byłoby szybko usnąć. Jak człowiek śpi, to mu się tak jeść nie chce. „Ale ze mnie głupiec! Żeby kawałka chleba ze sobą nie zabrać!” Zły na siebie i cały świat, długo jeszcze poprawiałem kask pod głową, układałem na nim rękawice, żeby było wygodniej, ale i tak sen nie przychodził - niech to diabli!

Rozmyślając o współtowarzyszach niedoli, zacząłem układać sobie ich życiorysy. Właściciel wołgi, to, z pewnością, jakiś działacz. Jeździ sobie po kraju, zwiedza, a w te strony trafił chyba dlatego, że był w Ełabudzie. Tam jest grób Cwietajewej i dziewczyny kawalerzystki Durowej. I Szyszkin też stamtąd pochodzi... A może i on urodził się nad Kamą? Mieszka w Moskwie, a tu przypomina sobie młodość?... Woźnica, zapewne, od lat mieszka na wsi. Całe życie wierzył w Boga, pracował na polu, brał udział w wojnie, a teraz jest już chyba na emeryturze i dorabia sobie w kołchozowej stajni. A ze względu na bezustanne zrządzenie, na wsi nadano mu zapewne jakieś przezwisko... Z traktorzystami sprawa jest prosta. Wysłano ich po nawozy. Cieszą się, że wyrwali się z domu. Można sobie wypić, a i zobaczyć kawałek świata...

Dość miałem tego przewracania się z boku na bok, usiadłem. Potem wstałem i pobrnąłem na brzeg, żeby nie widzieć, posiedzieć nad wodą, a może nawet wykąpać się. Szedłem i myślałem o tym, że po kąpieli apetyt będę miał jeszcze większy, a i bez tego mam go pod dostatkiem... Siedząc nad wodą, na wzgórku, usłyszałem z krzaków jakieś odgłosy. Chrząst chrustu i mamrotanie mężczyzny, a potem także kobiety... Speszony poszedłem z powrotem. Nie zauważyli mnie. Położyłem się przy motocyklu i zapadłem w drzemkę. Po pewnym czasie wrócił także Fiedka. Słychać było jak chrząkał z zadowoleniem, układając się obok kolegi na plandecę. Pod furmanką rozległo się niezadowolone sapanie woźnicy, ale tym razem się nie odezwał.

Cudowna noc w środkowym biegu rzeki! Cicho, ciepło. Gwiazdy świecą jasno. Ciężka mgła nadciąga od strony krzaków, snuje się nad ciemną rzeką, i ma się wrażenie, że za chwilę stanie się coś niezwykłego, w takiej wierzy się, że istnieje Kościej, Baba Jaga, królewicze i piękne królowny, i człowiek sam chciałby stać się postacią z bajki, tylko, żeby zamiast konika-garbuska był tam motocykl z dobrym gaźnikiem i córki królewskie ubierały się nieco bardziej współcześnie. W przymglonej świadomości już jawi się przed oczami wodnik, z Wiatki wynurzają się rusalki i zaczynają tańczyć rozpuściwszy zielone włosy. Wtem, nie wiadomo skąd, ukazują się olbrzym i jednym haustem wypija całą wodę z Wiatki, i rusalki nie mają gdzie się podziać, i wiozę je do żeńskiego hotelu robotniczego, i w pośpiechu budują tam dla nich basen, i zastanawiają się, gdzie by tu tak liczną grupę zatrudnić, i wkrótce postanawiają: przyjąć je na sekretarki - maszynistki, bo ręce przecież mają, i to nawet dość zręczne. Żal mi ich, i płaczę, a one siedzą w beczkach wypełnionych wodą, i uczą się pisania na maszynie, bez patrzenia na klawiaturę...

- A-a-a-a!!! - rozlega się nagle w środku nocy rozdzierający wrzask kobiet.

Wszyscy zrywają się na równe nogi.

Zerwałem się i ja. Pojęcia nie mam co się dzieje - kobiety wrzeszczą tak, jakby zostały napadnięte przez jakąś bandę i bandyci rzucili się na nie z nożami. Stoi także zerwany ze snu właściciel wołgi. Jest w nocnej bieliźnie. Podrywają się Grisza i Fiedka i klnąc na czym świat stoi pędzą w stronę kobiet. Biegniemy - i ja, i właściciel wołgi. Tylko woźnica nie wychodząc spod furmanki raz po raz przeżegnał się gorliwie.

Pędzimy wszyscy na pomoc, ale kobiety biegną już ku nam przerażone, z wrzaskiem... Po chwili wszystko jest już jasne.



Z oparów mgły na ich biwak, długimi, bezgłośnymi susami sadził potężny, biały koń. Poranna mgła tuż przed świtem sprawiła, że jego sylwetka wydawała się jeszcze większa, robił wrażenie bajkowego potwora, który nie wiedzieć skąd zjawił się nad rzeką.

Pierwszy opamiętał się Grisza.

- Czego się drzecie! Przecież to koń, zwyczajny koń!

- O rety! Przecież to naprawdę koń! - ocknęły się kobiety.

- Ty stary pasożycie! Gdzieś ty konia puścił?! - rzuciły się na woźnicę. Ale już po chwili zaczęły chichotać na widok właściciela wołgi - w gaciach poleciał baby ratować! Powoli uspokajały się spoglądając na różowiejące na wschodzie niebo. Noce latem są krótkie.

- Zdumiała babska - mamrotał niezadowolony woźnica. - Konia się wystraszyły! Ale głupie!

- Patrzcie go, mądrała się znalazł!

Wszyscy zaczęli z powrotem układać się na swoich miejscach, analizując zajście. Ja także położyłem się na trawie i nawet trochę przysnąłem. Koło piątej, a może parę minut po piątej wstałem i poszedłem w stronę krzaków, żeby zjeść trochę jeżyn. Jeść mi się chciało strasznie. Po chwili całe dłonie miałem w brunatno-czarnych plamach, ale za to żołądek powoli wypełniał się. Jeżyn była masa. Obok ujrzałem rosnące dziko truskawki. Położyłem się na trawie i jadłem leżąc. Od czasu do czasu podnosiłem głowę i spoglądałem na drugi brzeg - holownik nie powrócił jeszcze do swojej barki.

Obok przystani budzili się ludzie. Grisza i Fiedka tłumaczyli się przed sobą dlaczego wypili wczoraj obie butelki nie zostawiając nawet łyka na rano. Woźnica przyglądał im się z niechęcią. Właściciel wołgi zagotował na prymusie wodę, po czym rozłożył na stoliku składane lustro i, namydliwszy twarz, golił się starannie składaną maszynką. Kobiety znowu gotowały ziemniaki w wiadrze. Zbliżał się czas promu, ale barka stała ciągle przy tamtym brzegu. Po tej stronie wszyscy zabrali się do jedzenia. A ja - oblizywałem się tylko. Szyper wyszedł na pokład, oczy osłonił od słońca i zaczął wpatrywać się w przeciwległy brzeg; czy dzieje się coś w Papadyszy?

- Ładna historia! Ósma dochodzi, a oni nawet nie drgną! Szlag by ich! Pasożyty! I co teraz, mamy tu żyć w takim taborze, czy co?

- Coś się tam rusza - powiedziałem. - O, proszę ludzie wyszli na barkę.

- Pewnie na samochody czekają - spójrz, nie ma ani jednego, a na pusto nie chcą tu płynąć.

Małe sylwetki zaczęły wyprawiać na promowej barce skandaliczne rzeczy. Mówiąc krótko, rozrabiać. Rzucili się na budkę, rozwalili ją w jednej chwili i powyrzucali deski za burtę... Po chwili do dziobu podpłynął holownik, ale nie wczorajszy, tylko ten, który stał obok, przycumowany. Z przystani rzucili cumy, a holownik wyciągnął barkę na środek rzeki.

- No, chwała Bogu! - zakrzyknął szyper. - Chodźcie, kochani! Od razu was zabiletuję!

Pierwszy ruszył właściciel wołgi. Za nim ustawił się w kolejce woźnica. Zaprzął już konia, zjadł śniadanie, popił wodą z Wiatki i uczesał się. Całą uwagę skupiliśmy na sprzedaży biletów, i wszyscy jak jeden mąż zaopatrzylibyśmy się w nie, gdyby nie Grisza, który powiedział:

- A przecież prom wcale nie tu popłynął... Ty stary pierniku! Może zrobili przeprawę całkiem gdzie indziej, a ty nam tu głowę zawracasz, co?

- Jakże to tak, beze mnie?... - mamrotał speszony szyper, obserwując z przerażeniem jak holownik ciągnie barkę ze zniszczoną nadbudówką w dół Wiatki, oddalając się od nas coraz bardziej. Mimowolnie odprowadzaliśmy barkę wzrokiem. Zastanawialiśmy się teraz wszyscy: i co teraz robić? Wracać?

Pomyślałem sobie, że ruszę z powrotem do Tarłowki, stamtąd do Czistopola i spróbuję przepłynąć się przez Kamę nie opodal Sorocznych Gór.

- A co to się tak czerwieni na moście? - zapytał Fiedka.

- Diabli ich wiedzą - odparł szyper. - Znowu, pewno, jakieś zobowiązania podjęli!
- Nie wygląda na to - z niedowierzaniem stwierdził właściciel wołgi.

I w tym momencie przypomniałem sobie, że nocą, na horyzoncie wydawało mi się, że widzę jakieś światelka poruszające się po nowej drodze. Uznałem, że to przywidzenie. Przecież budowali ten most tak długo, że wszyscy już o nim zapomnieli.

- Tak, wydaje mi się, że jeżdżą przez most! - zawołałem. - Popatrzcie uważnie!
- Rzeczywiście!
- Ale z nas głupcy!
- Szyper, podlec...

Wołga wykrcęcała już w stronę mostu. Kierowca ciężarówki przewożącej kobiety również zapuścił silnik. Na wiejskiej drodze z łatwością wyprzedziłem wołgę. Dojeżdżałem do mostu. Było już widać, jak potężne ciężarówki, z pełną szybkością przejeżdżały przez most na drugą stronę rzeki.

Napis na transparencie oznajmiał, że otwarcie mostu nastąpiło wczoraj. Wygramoliłem się nasypem na nową, asfaltową drogę, stanąłem i popatrzyłem w dół, na rzekę.

Holownik uwalniał się już od promowej barki. Wpychał ją teraz na cmentarzysko takich samych, starych kryp oczekujących na swój los.

Na wschodnim brzegu Wiatki, krętą, piaszczystą drogą, wymijając głębokie doły, toczyła się błękitna wołga. Za nią terkotał traktor z przyczepą. Za traktorem ciężarówka przerebiona na autobus. Za ciężarówką powoli jechał gderliwy woźnica, poganiając swego białego konia. Za furmanką podążał szyper, taszcząc w ręku jakąś torbę, zawierającą zapewne bilety na prom oraz utarg. Widać było, jak błagał woźnicę, żeby wziął go na wóz. Ale woźnica gestykulował z przejęciem, a z jego wyrazistych gestów można było wywnioskować, że odpowiedź brzmi mniej więcej tak: „I dobrze ci tak! Całą noc nas tu przetrzymałeś, to teraz zasuwaj piechotą! Nie wezmę! Za nic! Będziesz miał nauczkę! Piechotą się przeleć, na własnych nóżkach!” Po chwili jednak, ulitowawszy się zapewne, zatrzymał konia i szyper z radością wgramolił się na wóz.

*Tłumaczył PIOTR HALBERSZTAT*